

ANDRZEJ DZIURAWIEC

# PŁONĄCE AMBONY

O S T A T N I A   S P R A W A  
O S T A T N I A   M I Ł O Ś Ć  
O S T A T N I   S E N

LIRA  
WYDAWNICTWO

**PŁONAĆCE  
AMBONY**



ANDRZEJ DZIURAWIEC

# PŁONĄCE AMBONY

LIRA  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67388-02-3

*Złych zawsze trzeba łapać,  
ale tym razem trzeba  
nie łapać. Rozumiesz?*

Piotr Jasek



*Małgosi Bigelmajer, Ani Częścik, Ewelinie Lipczak,  
Agnieszce Lorenc, Monice Purzyckiej, Oli Stanisławskiej,  
Darkowi Bigelmajerowi, Sławkowi Chojeckiemu,  
Januszowi Petelskiemu, Staszкови Szymańskiemu  
i wszystkim, którzy pokochali Szuberta,  
mimo że on sam nie potrafił pokochać siebie.*





# PROLOG

## *CZTERY LATA WCZEŚNIEJ*

Bała się. Zmierzchało, a do domu miała jeszcze 3734 metry. Mama na pewno już stoi w oknie. Z Piask, od Maćka, było prawie pięć kilometrów, niecałe dwadzieścia minut; w tamtą stronę mniej, bo od mleczarni jechała cały czas z górki. Teraz z trudem wspinała się na Zamojską Górę, najgorszy był ten ostatni fragment. Przetawiała przerzutkę na dwójkę, z całych sił nacisnęła na pedały. Zachrząściło, przez chwilę pedałowala w miejscu. Cholera! Coś jest nie tak z tą przerzutką. Mówiła ojcu, ale on oczywiście jak zwykle nie miał czasu. Powiedział, że może w weekend. No to jest weekend, a on nawet nie spojrział na jej rower. Jeśli ona się spóźni, to będzie jego wina! No, może troszeczkę... Zasiadziała się. Oglądali *Grę o tron*, Maciek miał wszystkie sezony. W jej klasie chyba tylko ona nie widziała jeszcze tego serialu. Rodzice nie pozwalali. „Za dużo przemocy”. Akurat! Jakby nie wiedziała, że chodzi im o seks. Jest już prawie dorosła, za miesiąc skończy podstawówkę, a oni wciąż traktują ją jak małą dziewczynkę. Inna sprawa, że dzisiaj naprawdę zachowała się jak totalna małolata...

Czuła, że płoną jej policzki, gdy patrzyła jak Daenerys... Na szczęście Maciek nic nie zauważył, nawet na nią nie spojrział, wpatrywał się w ekran laptopa jak durny. Była trochę zazdrosna. Wcale nie miała gorszych cycków niż ta blondyna. Swoją drogą ciekawe, czy ona rzeczywiście ma takie jasne włosy, czy tylko do filmu tak ją zrobili...?

Z zamojskiej szosy skręciła w drogę do Krasnoborek. Jeszcze 3218 metrów. Aplikacja w smartfonie pokazywała dokładne odległości. Minęła dwór. Wyglądał okropnie. Kiedy oni wreszcie ruszą z tym remontem?

Jeszcze dziesięć minut. Postanowiła, że pojedzie przez las — zaoszczędzi 911 metrów.

W lesie było ciemniej. Nie szkodzi. Mogła tędy jechać nawet w środku nocy, znała każdą ścieżkę. Dwudziesta pięćdziesiąt, za siedem minut powinna być w domu, trzy minuty przed czasem. *Yes!*

Przerzutka znowu zachrzęściła. Cholera! Rower omal się nie przewrócił. No tak, spadł łańcuch. Z całej siły kopnęła składak. Nie pomogło, tylko stopa ją rozboleła. Miała ochotę cisnąć to badziewie w krzaki! Nie! Nie będzie płakać! Najwyżej się spóźni! To w końcu nie jej wina, że musi jeździć takim złomem! Poprowadziła rower. Jeszcze 1734 metry...

Najpierw usłyszała śmiech i dźwięki rozstrojonej gitary, a po chwili spostrzegła odbłask płomieni. Na polanie ktoś palił ognisko. Przystanęła na skraju, obserwowała.

Dwie dziewczyny, czterech chłopców. Pewnie studenci. No i Maks. Ciekawe, co on tu robi? Jednego z chłopaków znała z widzenia. Marcin, syn jej nauczycielki polskiego, w zeszłym roku zrobił maturę. Na gitarze grał chuderlawy rudzielec, nie był wirtuozem. Impreza dopiero się rozkręcała. Obok ogniska stała skrzynka piwa, kilka butelek wina. Nieźle jak na sześć osób. Bo chyba nie dadzą Maksowi alkoholu... Na szczęście nie byli jeszcze mocno nawaleni. Podawali sobie grubego skręta, chichotali.

— Przygłupowi też daj! — zakomenderowała dziewczyna, ta ładniejsza, blondynka.

Siedzący obok Maksa chłopak włożył mu do ust jointa. Maks zaciągnął się mimowolnie, rozkaszał się. Towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

Dziewczynka weszła w krąg światła.

— On wcale nie jest przygłupem! Cześć, Maks!

Maks nie odpowiedział. Nigdy nie odpowiadał.

— O! Jest i Czerwony Kapturek! — Znów ta ładniejsza z dziewczyn.

— Cześć, Kapturku! Ja jestem stary, zły wilk. Co tam niesiesz w koszyku?

— Nie wygłupiaj się, Marcin. Rower mi się popsuł.

— Znamy się?

— Twoja mama uczyła mnie polaka w podstawówce.

— No to rzeczywiście, jesteście prawie rodziną. — To ta druga dziewczyna, szatynka w mini. Głupia jakaś, do lasu w miniówie?! Komary żywcem ją zeżrą!

— Masz jakieś imię, kuzynko?

— Kasia... Łańcuch mi spadł.

— Popatrzmy...

Marcin ustawił rower na siodełku i kierownicy, zakręcił kołem. Przyglądała mu się spod rzęs. Podobał jej się. Bardziej niż Maciek. Dużo bardziej...

— No i gotowe! — Przetawił rower na koła. — Ale za luźny jest, bez narzędzi nie naciągnę. Musisz wolno jechać.

— Dziękuję.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, coś fajnego, dowcipnego, ale jakoś nic jej nie przychodziło do głowy,

a w dodatku poczuła, że się czerwieni. No nie! To już drugi raz dzisiaj...

Maks nagle zaczął się głośno śmiać. Nigdy nie słyszała, żeby się śmiał. Nie powinni mu dawać tego skręta.

Wsiadła na rower, wróciła na ścieżkę. Trzy minuty później była już na drodze za lasem. Z lewej strony młodniak, z prawej pola. Było już prawie zupełnie ciemno, ale został jej tylko niecały kilometr — cztery minuty, góra pięć. Dwudziesta pierwsza dwanaście. Mama pewnie już stoi przed domem. Kasia nacisnęła na pedały. Przewróciła się razem z rowerem. Znowu ten łańcuch... Chciało jej się płakać.

Otrzeptywała się z suchych liści i igliwia. Nie usłyszała go, nie zauważyła, jak podchodził. Podniosła wzrok, stał tuż obok, przyglądał się jej w milczeniu. Próbowwała się uśmiechnąć.

— Cześć.

Nie odpowiedział. Wyciągnął do niej dłoń. Nie podała mu swojej. Cofnęła się odruchowo. Chwycił ją za rękę, pociągnął. Opierała się, nie miała żadnych szans. Krzyczała, nikt nie usłyszał.

Rower został na drodze.

# CZEŚĆ PIERWSZA

## POZYCJE WYJŚCIOWE

### ROZDZIAŁ 1

Szubert chodził po swoim obejściu i kłamał jak najęty. Roksi, jego jedyna, ukochana córeczka martwiła się o niego. Nie widzieli się od miesiąca, ale prawie codziennie rozmawiali przez telefon. Szubert miał coraz większy problem z zachowaniem spójności narracji. Zdarzało mu się zapominać, co jej nakłamał wczoraj i przedwczoraj. A córeczka czujna była jak ważka...

— ...no pracują, oczywiście, że pracują, aż furczy! To świetna ekipa jest! Słyszysz? — Wyciągnął siekierę z pniaka i zaczął produkować ścieżkę dźwiękową. Walił w kamienie, stare kowadło, drzwi komórki, w co popadło. — Póki nie będzie dachu, nie możesz przyjechać, tutaj teraz straszne burze są... — Szubert spojrzał w jasne, bezchmurne niebo. — Nie, no bez przesady, będę spać u sąsiadów. (...) U tych za drogą, Wilkołków. Pamiętasz ich? (...) Lepiej powiedz, co u ciebie? (...) No to cieszę się. Pa, muszę kończyć. Majster coś chce. (...) Jasne, dzwoniemy się jutro.

Rozłączył się, przetarł dłonią spocone czoło. Spojrzał na rozpadającą się chałupę. Przysiadł na pniaku do rąbania drewna i wybuchnął śmiechem. Śmiał się na cały głos. Śmiał się, bo przecież pięćdziesięcioletniemu facetowi nie wypada płakać. Śmiał się jak durny, bo był durny. Jak mawiała jego była już na szczęście żona, obecnie pani inspektorowa Szumanowa *primo voto* Szubert: „Wiedziałam, że jesteś durny, ale nie wiedziałam, że aż tak!”. Dowód, że miała rację, widział przed sobą. Trzeba być naprawdę ciężkim idiotą, żeby zamienić osiemdziesięciometrowe mieszkanie w pięknej przedwojennej kamienicy na warszawskim Powiślu na rozpadającą się chałupę na totalnym zadupiu. Jasne, miał do tego miejsca sentyment. W dzieciństwie spędzał tu każde wakacje, babcia Aniela była najbliższą mu osobą, ale sentyment nie powinien zwalniać z myślenia. Co on sobie, do cholery, wyobrażał, kiedy postanowił przenieść się na wieś? Że będzie lepił pierogi, grzał się przy babcinym piecu i chodził na długie spacerzy z psem? Z tego wszystkiego sprawdziły się tylko spacerzy. Węła, jego dożyczka, była zachwycona nowym, wiejskim życiem. Szubert znacznie mniej.

Babcia Aniela umarła osiem lat temu i od tego czasu dom stał opuszczony. Dach przeciekał, wszystkie okna i drzwi były wypaczone, spróchniałe deski podłogi nie nadawały się nawet na opał. Najgorzej było z zachodnią ścianą. Zarosła bluszczem, dziką różą, zbutwiała. Można było przebić ją palcem.

Tak naprawdę dom nadawał się tylko do rozbiórki, ale cóż, sentyment... Z obejściem nie było lepiej. Komórka trzymała się tylko na słowo honoru, a cały teren zarósł

kolczastymi krzaczorami. Trawa sięgała do pasa, ale nie można jej było skosić, zanim nie wykarzuje się tego całego barachła.

Zaczął od dachu. Zerwał papę — do wymiany była cała konstrukcja. Nie znał się na tym zupełnie, ale uparł się, że wszystko zrobi sam. Niepotrzebnie. Ciesiołka to trudna sztuka, zdecydowanie zbyt trudna dla emerytowanego oficera policji. Później zabrał się za podwórko. Po paru dniach morderczej pracy mógł wreszcie zacząć kosić trawę. Teraz czekał na fachowca. Od tygodnia. Deszcz nie chciał czekać. Szubert zabezpieczył dach folią — z umiarkowanym powodzeniem. Na szczęście podłódze nic już nie mogło zaszkodzić.

Z domem nie poszło, więc znów wziął się za obejście. Podparł dach szopy, wyniósł z kurnika z tonę nawozu i z pół tony pobabcinego badziewia. Babcia nigdy niczego nie wyrzucała, wszystko mogło się kiedyś przydać. Szubert wywalił to „wszystko” w cholerę, urządził w komórce łazienkę i wychodek. Tylko tam można było jako tako funkcjonować. Szubert nawet polubił kąpiele w starej blaszanej balii. No i wreszcie mógł się w ludzkich warunkach załatwić. Jeśli akurat nie padało...

Nigdy tak ciężko fizycznie nie pracował. Tyrał od świtu do zmierzchu. Osiągnął tyle, że rozbebeszył całą chałupę i już zupełnie nie miał gdzie się podziać. Tyle dobrego, że wieczorem, nieprzytomny ze zmęczenia, walił się na posłanie i natychmiast pogrążał we śnie. W Warszawie od tamtego dnia, najstraszniejszego w jego życiu, nie przespał ani jednej nocy. Teraz spał jak niemowlę i jak niemowlę budził się po godzinie, dwóch. Wstawał, palił



papierosa, wracał do łóżka, znowu wstawał... Nie miał siły rozpamiętywać zdarzeń sprzed roku, ale koszmary i tak powracały. Nie tylko we śnie.

Roksi, jego córeczka, jego ukochanie, o włos, o ułamki sekund od spalenia żywcem. Bezsensowne samobójstwo jedynego przyjaciela. Ucieczka Havy. Zbyt późno zrozumiał, jak bardzo była ważna. Od roku nie miał od niej znaku życia. Nie potrafił przestać o niej marzyć. Po Mateuszu została mu przynajmniej Wela, rozpieszczona, rozdokazywana dożyczka. Sześćdziesiąt cztery kilo nieokiełznanej radości życia. Teraz trącała go nosem, domagając się, by rzucił jej kolejny patyk.

Wieczór. Majster już dzisiaj na pewno nie przyjdzie. Szubert wstał z pniaka, przeciągnął się, coś mu łupnęło w krzyżu. Skrzywił się z bólu, Wela zaczęła wariować ze szczęścia. Była na dworze od samego rana, ale i tak nie mogła się doczekać „prawdziwego” spaceru. Rzecz jasna, Szubert, bez względu na to, jak bardzo był skonany, ulegał. Nie miał z nią żadnych szans.

Zapiął jej smycz, powlókł się w stronę lasu. Daleko nie miał, wystarczyło przejść przez szutrówkę do Biskupic i minąć obejście Wilkołków.

Krasnoborski las nie był duży, kilometr kwadratowy, może nawet mniej. Po pół godzinie wyszli na pola po drugiej stronie. To była rozgrzewka, dla Weli dopiero za lasem zaczynał się prawdziwy spacer. Pola ciągnęły się po horyzont, poprzecinane młodniakami i wąskimi piaszczystymi drogami.

Szubert przysiadł na szczelbu drabiny myśliwskiej ambony, zapalił papierosa. Już nawet nie próbował

rzucić obrzydliwego nałogu. Dziesięć lat życia mniej? A po cholere mu długie życie?! Na nic nie czekał. Wszystko, co się miało zdarzyć, już się zdarzyło. Poza tym nigdy papierosy nie smakowały tak, jak teraz, kiedy przysiadł po harówce czy podczas wieczornego spaceru z suczką.

Wela złapała trop i pognąła. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby przypadkiem udało jej się dogonić sarenkę. Pewnie chciałyby się z nią pobawić.

Zgasił papierosa, zagrzebał niedopałek w piasku, ruszył za dożyczką.

Lubił tę stronę lasu. Totalna pustka, tylko gdzieś daleko sunął samotny traktor. Nawet nie było go słycać. Droga prowadziła pod górę, miał stąd widok na całą okolicę. Widział białe wieże kościoła w Biskupicach, torfowiska w dolinie Giełczwi, Księżą Górkę po drugiej stronie rzeki, a bliżej — kępę zieleni na skraju lasu, czyli swoje włości. Chaty nie było widać, zasłaniały ją drzewa. Jego własne, prywatne drzewa! Miał w obejściu potężny dąb, modrzew, dwa buki, kilka akacji i świerków oraz sporą grupę sosen. Jednak najbardziej był dumny ze swoistego wybryku natury — wysokiej na ponad trzydzieści metrów, strzelistej jak sosna gruszy. Uśmiechnął się do swych myśli: jednak odziedziczył po przodkach odwieczny chłopski instynkt własności...

Gdzieś w oddali dostrzegł Welę goniącą za stadem saren. Nie było sensu jej wołać. Skręcił w zarośniętą polną drogę, zaczął się wspinać na grzbiet wysoczyzny. Nie był tu od lat, od czasów rowerowych wypraw podczas młodzieńczych wakacji.

Wróciła Wela. Zziajana, ledwo żywa. Widocznie sarenki nie chciały się z nią bawić. Zmierzchało. Czas wracać.

Na polu, kilkadziesiąt metrów od drogi, zauważył niewielki pagórek poprzetykany białymi kamieniami. Prowadziła do niego ledwo widoczna ścieżka. Podszedł bliżej. Opuszczona kopalnia kamienia. Kiedyś kilka ich działało w okolicy, za jego czasów były już nieczynne. Bawił się w nich z dziećmi ze wsi. Dorośli zabraniali, kopalnie były niezabezpieczone, niebezpieczne, co, rzecz jasna, w oczach dzieciarni tylko podnosiło ich atrakcyjność.

Teraz też nie mógł się oprzeć, by nie sprawdzić, czy da się tam wejść. Obszedł pagórek, ale nie zauważył żadnego otworu. Wela kręciła się wokół niego, niespokojna. Już miał odejść, gdy spostrzegł stertę suchych gałęzi. Ktoś musiał je tutaj ułożyć. Odsunął je. Pod spodem było łukowato sklepione wejście. Wela przywarła do ziemi, nie chciała się ruszyć. Warczała. Uspokoił ją. „Nie przesadzaj! Tylko zajrzę. Poczekaj”.

Ostrożnie wszedł do niskiego, wąskiego korytarza. Ciemno. Po kilku krokach nic już nie widział. Włączył latarkę w smartfonie. Korytarz prowadził w dół, rozdawał się. Po prawej stronie lita ściana, po lewej jakiś otwór. Przez chwilę wydawało mu się, że błysnął w nim ogień. Metan?! Bzdura! Był raptem dwa, może trzy metry pod ziemią. Poza tym w kopalniach kamienia nie zbierają się gazy. Ruszył w lewo. Otwór miał najwyżej półtora metra wysokości. I rzeczywiście, wydobywał się z niego ledwo widoczny poblask. Szubert skulił się i wcisnął do środka.

Komnata była wielkości sporego pokoju, wysoka na kilka metrów. Wykuto ją w białym kamieniu, ale nie była biała. Wszystkie ściany zostały zamalowane. Dominował ciemny błękit i granat. Na tym tle błyszczwały srebrne gwiazdy. Panoramiczny obraz nocnego nieba. Piękny.

Pod przeciwległą ścianą palił się cementarny znicz. W jego świetle gwiazdy zdawały się migotać. Znicz dopalił się i zgasł.

## ROZDZIAŁ 2

### *DWA LATA WCZEŚNIEJ*

Wieczorem upał nie zelżał. Na zewnątrz musiało być dobrze ponad trzydzieści stopni, wewnątrz pewnie więcej, a do tego Sroka palił jednego papierosa za drugim. Siedzieli w samych majtkach. Marcinowi pot spływał po nagich plecach, nie mógł się skupić. Wpatrywał się w szachownicę, szukał jakiegoś wyjścia z sytuacji, w którą sam się wpakował. Jego atak był nieprzygotowany i teraz całe skrzydło hetmańskie miał odsłonięte. Wykonał desperacki ruch skoczkiem, licząc na chwilę nieuwagi przeciwnika. Sroka wymienił skoczka na gońca. Partia zmierzała ku nieuchronnemu końcowi. Marcin miał dość. Zgarnął bierki do pudełka.

— Nie rozumiem, kurwa! Naprawdę nie rozumiem!

— Czego nie rozumiesz, żabciu?

— Gram w szachy od dzieciństwa, ty dopiero tutaj się nauczyłeś, a i tak ciągle biorę w dupę!

— Nie tak ciągle. Czasami tylko w szamę.

Sroka zarechotał, Marcin zaczerwienił się.

— Nie no, poważnie. Przecież ty prosty cham jesteś, Sroka, masz iloraz inteligencji ze dwa razy niższy ode mnie, jak to się dzieje, że ze mną wygrywasz?! — Tym razem pamiętał, żeby unikać wszelkich dwuznaczości.

— To proste. Śpieszysz się, za bardzo chcesz wygrać. Marzysz o tym, żeby mnie rzucić na kolana. Tylko widzisz, Mały, marzenia rzadko się spełniają, a od roboty na kolanach to ty tu jesteś.

— Spierdalaj!

— Lubię, jak się tak ciskasz, od razu mi staje.

— Pierdol się!

— Dobrze kombinujesz, właśnie o tym mówię. No chodź, popieścisz Ptaszynę...

Marcin nawet na niego nie spojrzał. Podszedł do okienka, podciągnął się, wyrzwał na zewnątrz. Na dziedzińcu nikogo nie było. Powietrze stało.

Więzienie w Krasnymstawie mieściło się w starych porosyjskich koszarach. Może nie było najcięższe w kraju, ale na pewno plasowało się w ścisłej czołówce. Marcin został tu osadzony dwa lata temu, Sroka sześć lat wcześniej.

— No i co tam na świecie?

Marcin tylko wzruszył ramionami. Usiadł na pryczy, schował twarz w dłoniach. Chciało mu się płakać. Nie mógł sobie pozwolić na łzy. Nie unióśł głowy, gdy drzwi celi otworzyły się.